

The Rolling Stones nigdy nie zawodzą! Polscy fani oczarowani występem legendy

Długo zastanawiałem się, od czego zacząć tę krótką relację ze wczorajszego koncertu The Rolling Stones na Stadionie Narodowym w Warszawie. Bo ile można pisać o fenomenalnej formie fizycznej Micka Jaggera? Obserwując jego sceniczne wygibasy ma się wrażenie, że siedemdziesięcioczeroletni wokalista podpisał pakt z Lucyferem, o którym śpiewa w „Sympathy for The Devil”. Jego znakomita kondycja to jednak przede wszystkim zasługa ćwiczeń, które frontman uprawia nawet sześć razy w tygodniu. Efekty przynoszą również rozgrzewki z trenerem wokalnym. W Warszawie nie było śladu po lekkiej niedyspozycji, którą Jagger nastraszył fanów kilka dni wcześniej w Pradze. Głos zaczął mu się nieznacznie łamać dopiero podczas zagranej na pierwszy bis „Gimme Shelter”, który należy przecież do jednej z bardziej wymagających wokalnie kompozycji Stonesów. Równie długowieczna wydaje się reszta składu. Muzyka Brytyjczyków co prawda nie zmusza do wirtuozerii i nie jest skrajnie wymagająca fizycznie, ale zagranie dwugodzinny koncert to wyzwanie dla zespołu, który jest na estradzie od 56 lat. The Rolling Stones oczywiście wychodzą z tej próby obronną ręką. Cały czas urzekają rock’n’rollowym luzem, za który pokochały ich miliony. Choć perkusiście Charliemu Wattsowi po skroni nie spłynęła nawet kropla potu, to właśnie jego oszczędnej grze zawdzięczamy charakterystyczny puls twórczości Stonesów, o czym można było się przekonać podczas zagranej cudownie „do tyłu” „Tumbling Dice”. Słuchając gitarowego tandemu Richards/Wood, przypomniały mi się z kolei słowa, które z wrodzoną skromnością powiedział kiedyś starszy z muzyków. Keith Richards stwierdził - „jesteśmy raczej kiepskimi gitarzystami, ale kiedy gramy razem trudno nam dorównać”. Równie oczywiste byłyby rozważania na temat nieśmiertelności repertuaru The Rolling Stones. Jako że legenda przyjechała do nas dopiero czwarty raz, setlista niedzielny koncertu składała się z największych hitów formacji. Nie brakowało jednak niespodzianek. Mnie szczególnie ucieszył drapieżny „Bitch” z płyty „Sticky Fingers” nagrany tylko cztery razy od 2015 roku. Najważniejsze jednak, jak międzypokoleniowa publiczność reagowała na rockowe evergreeny. Zarówno małżeństwa po 70-tce, które mogą pamiętać poruszenie, jakie wywołały występy Stonesów w Sali Kongresowej w 1967 roku, jak i ich wnuki, które twórczość legendy poznały oglądając nowe filmy Martina Scorsese, euforycznie reagowali na kolejne przeboje. Najlepiej było to słyszeć podczas „You Can’t Always Get What You Want”, w trakcie którego nikt nie pozostał obojętny na nawoływanie Jaggera do wspólnego śpiewania. Nie odkryłbym też Ameryki, gdybym rozplęwał się nad świetną chemią, która panowała między muzykami czy imponującą scenografią. Może jednak to wszystko w przypadku występów The Rolling Stones to po prostu norma i nie ma co silić się na oryginalność w relacjach? Kultowy zespół od ponad pół wieku dowodzi, że pierwotna surowość i prostota rock’n’rolla nigdy się nie zestarzeją. „Do zobaczenia wkrótce” głosił napis, który został wyświetlony na telebimach po koncercie. Drodzy Stonesi, trzymamy Was za słowo!